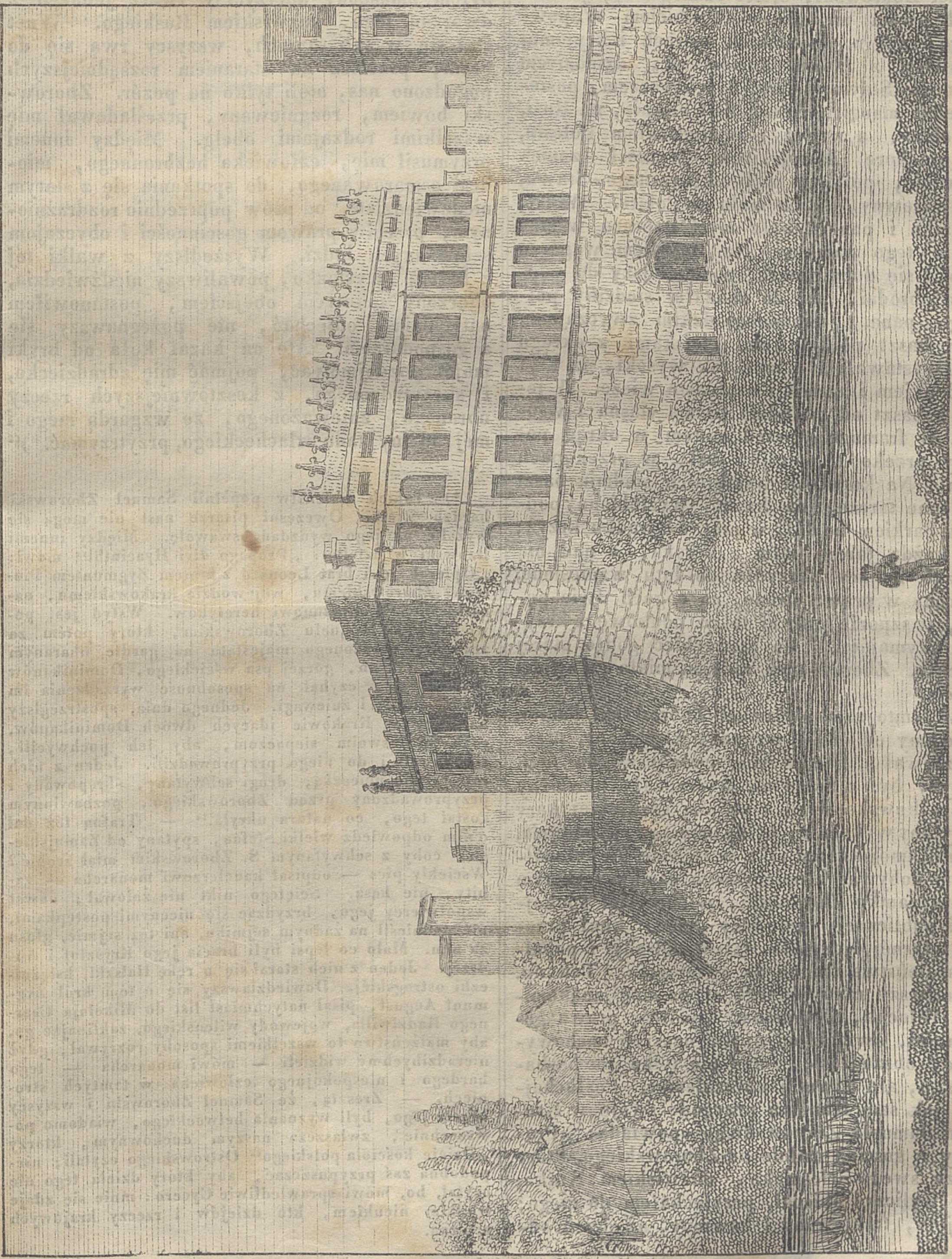
Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 43.** **Leszno,** *dnia* 25. *Kwietnia* 1840.



Zamek w Krupie.

Zamek w Krupie.

Krupa, w ziemi chełmskiéj, niegdyś własność Zborowskich, wyszła z posiadania ich rodziny z posażném wianem Kunegundy Zborowskiéj, oddanéj za mąż za Hieronima Gnoińskiego, matki Mikołaja i Samuela Gnoińskich. Samuel Zborowski, ojciec Kunegundy, jeszcze przed owém nieszczęsném zabiciem Wapowskiego, żył w sąsiedzkich sporach i kryjoméj nienawiści z Janem Zamojskim, dziedzicem Krasnego-Stawu. Choć był bogaczem, posiedzicielem mnogich włości na Ukrainie, na Rusi, w Polsce, a nawet i w litewskiém Polesiu, na przekorę Zamojskiemu wzniósł zamek w Krupie, półtoréj mili od Krasnego-Stawu, taki warowny, jakich mało w Polsce. Widać, że dzika i ponura była myśl twórcza w stawianiu tego zamku. Na iłowatém wzgórzu wznosił się duży gmach, podobniejszy do więzienia zbrodni, niż do okazałéj siedziby polskiego pana. Siodmiogrodzkim zwyczajem, siedm baszt półkołowemi cielskami z okręgu muru wystawało, a mur tak wysoki, iż krył przed okiem i zamek i czubiaste wieże. W jednéj z baszt od południa brama ciasna i wsunięta w framugę; przed murem w okrąg potrójny przekop i potrójny wał, w przekopach woda. Na kopułach wszystkich siedmiu baszt kamienne tarcze, na każdéj wyżłobiona podkowa barkiem na dół, w niéj we środku krzyż; nad każdą tarczą hełm z koroną, a nad nią jastrząb mający skrzydła do lotu wzniesione, obrócony w prawą stronę, na nogach dwie pęciny, w szponie prawéj takąż podkowę z krzyżem trzymający. To jastrzębiec godło staréj szlachty. Zborowskich rodzina miała go swoim herbem.

W tymto zamku Samuel Zborowski, banita, odsądzony od czci i wygnany z ojczyzny, przemieszkiwał, bezprawnie wróciwszy do niéj. I gdyby był z niego nie wyjeżdżał, pewnieby marszałkowska władza na nim gardłowéj kary niebyłaby wykonała; byłby umarł swoją śmiercią, bo ani Zamojski, ani nikt w świecie nie pokusiłby się dobywać krupieńskiego zamku. W tym samym zamku Zborowski, wichrzyciel spokojności publicznéj, uniesiony dumą, knuł przeciw własnéj ojczyznie czarne zdrady i popełnił szaleństwa trudne do uwierzenia. Tak np. zaprosiwszy razu jednego w gościnę znakomitego Włocha, Kandiana, gwałcąc prawa gościnności, święcie od ojców naszych zachowywane, obszedł się z nim nie tylko po barbarzyńsku, ale nawet jako szaleniec. Posłuchajmy, jak sam Kandian przygodę swoję w Krupie u Samuela Zborowskiego opowiada: „Proszony w gościnę usilnie od Zborowskiego, który mi za swego wieśniaka, nazwiskiem Kurka, dług wyliczyć obiecał, przyjechałem do niego; przyjęty, traktowany i bawiony, aż dzień odjazdu mego nadszedł. Zborowski usłyszawszy, że się do domu wybieram, broni mi i odradza wyjazdu, strasząc powietrzem morowém, naokół panującém. Zatrzymałem się więc u niego dłużéj. Potém, jak zwykł bywać żartobliwym, przywiódł mię swemi żartami do tego, że w przytomności licznego zgromadzenia szlachty byłem zmuszony uderzyć w twarz jednego z dworzan jego, nazwiskiem Ruskiego. Wnet stał się w sali rozruch, wszyscy rwą się do broni; przecież za staraniem rozsądniejszych pogodzono nas, atoli tylko na pozór. Zborowski bowiem, rozgniewany, prześladował mię wszelkimi rodzajami obelg. Między innemi przymusił mię, człowieka bezbronnego, miodem osmarowanego, do spotkania się z starym niedźwiedziem, od psów poprzednio rozdrażnionym, przeciw prawom gościnności i obyczajom szlachetnych ludzi. Wyszedłszy z walki téj z bestyą zwycięzko, powaliwszy niedźwiedzia, oburzony takowém obejściem, postanowiłem natychmiast odjechać, nie pożegnawszy się z gospodarzem. Ale on kazał koła od bryki mojéj pozdejmować, pojmać mię zdradziecko, i skrzywdzonego, z kosztowniejszych rzeczy obranego, znieważonego, ze wzgardą mego i méj rodziny stanu szlacheckiego, przytrzymać.*)“

---

*) Takich szaleństw popełnił Samuel Zborowski bardzo wiele. Owcześni pisarze nasi nie mogą się wyżalić na jego wyuzdaną swawolę. Między innemi Bzowski w dziełku: „Propago divi Hyacinthi“ mówi: „Opierał się i brat Leonard z bratem Zygmuntem Piotrowi Zborowskiemu, wojewodzie krakowskiemu, naczelnikowi i opiekunowi heretyków. Wstyd jest powiedzieć o Samuelu Zborowskim, który potém za zbrodnię obrażonego majestatu na gardle ukaranym został, jak on, gorzéj psa wściekłego, Dominikanów prześladując, czyhał na sposobność wyrządzenia im jakiéj obelgi i zniewagi. Jednego dnia, spostrzegłszy na ulicy w Krakowie idących dwóch Dominikanów, rozkazuje swoim siepaczom, aby ich pochwycili, skrępowali i do niego przyprowadzili. Jeden z nich ratował się ucieczką; drugi schwytany, skrępowany i przyprowadzony przed Zborowskiego, pozbawionym został tego, co natura ukryła.“ — Trafną też dał o nim odpowiedź wielki Stefan, spytany od Zamojskiego: coby z schwytanym S. Zborowskim miał zrobić? Wściekły pies — odpisał kanclerzowi monarcha — zabity, nie kąsa. Sciętego nikt nie żałował; nawet współwiercy jego, brzydząc się niecnymi postępkami, nie podnieśli na żadnym sejmiku, ani też sejmie, głosu za nim. Mało co lepsi byli bracia jego Krysztof i Andrzéj. Jeden z nich starał się o rękę Halszki, księżniczki ostrogskiéj. Dowiedziawszy się o tém król Zygmunt August, pisał natychmiast list do Mikołaja Czarnego Radziwiłła, wojewody wileńskiego, zaklinając go, aby małżeństwo to wszelkiemi sposoby rozrywał, gdyż nieradzibychmy widzieli — mówi monarcha — tego hardego i niespokojnego człowieka w tamtych stroniech. — Zresztą, że Samuel Zborowski i wszyscy bracia jego, byli wyznania helweckiego, wiadomo powszechnie, zwłaszcza naszym duchownym, którzy „Dzieje kościoła polskiego“ Ostrowskiego czytali; niepodobna zaś przypuszczać, aby który dzieła tego nie czytał, bo, mówi sprawiedliwie Cycero: mnie się zdaje wielkim nieukiem, kto dziejów i rzeczy krajowych nie zna.

Po Samuelu Zborowskim posiadał w środku 17go wieku Krupę z zamkiem niewyrodny wnuk jego Samuel Gnoiński, który służąc w wojsku szwedzkiém, zamknął w tym zamku garstkę ludzi, przeciw własnéj ojczyznie walcząc. Zamek, od Polaków zdobyty, ucierpiał wiele; wszakże od następców Samuela Gnoińskiego dobrze utrzymywany, dotrwał niemal cały do dni naszych.

X. A. S. P.

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Dymitr zaprosił gości do swojéj wieczerzy; gąsior miodu starego i wielki rodzinny puhar, ozdobił prostą ucztę. Dwaj zgłodniali myśliwi, nasyceni jadłem, rozweseleni miodem, wesoło zabierali się do żądanego spoczynku. Na woniejącém sianie złożyli utrudzone ciała, gdy Grzegórz, nalewając, podawał kolejno srebrny puhar, jedyny zbytkowy sprzęt w domostwie Dymitra.

„Przyznam się Waści," prawi rozweselony podstoli, „że lubo mam przydomek niewesołego ptaka, bo, jak Waści wiadomo, od sępa nazywamy, troskami zgniecione czoło i oblicze, zasępionem, wrzekomo, nie zasępiam się wcale, i lubię wesołość: a do tego potrzeba, a o czém zawsze baczę, aby żołądek był niegłodny, a w głowinie szmerał nieco, albo nasz luby krajowy miodek, albo stary a wytrawny madzar (*). Wtedy pieśń wesoła — albo gawęda z dobrym towarzyszem pieści uszy szlacheckie rado i przystojnie. Miłyć Boże! zabrałeś mi brata mego w młodzieńczym wieku, a byłto poeta niepospolity: nieraz bywało przy uczcie, jak z procy lub zaśpiewał pieśń stworzoną w téjże chwili w jego głowie: to sonet gładki wypowiedział. Miły to był młodzieniaszek, zgasł przed czasem. Ja lubo nie pismak, gdy przecie „wiele ludzi zacnych, którzy nie„boszczyka pana Mikołaja albo zaznali, albo „téż pisma jego czytali, rozmawiali ze mną i zna„rzekaniem, żem się o to nie starał, aby prace „i pisma jego do kupy były za mojém stara„niem zebrane i światłu pokazane. Ja zaiste „będąc w téj mierze i sam frasowity, żem do „tego przyjść nie mógł, i narzekaniem ludzkiém „poruszony, starałem się, jakobym i żądności „onéj prawie pospolitéj od wszystkich, którzy „się w dowcipie brata mego zakochali i po„winności mojéj braterskiéj, a przytém sławy „brata mego nieodbiegał; użyłem więc jednéj „zacnéj osoby duchownéj do przejrzenia i spo„rządzenia pism, aby świat widziały, i pod „miłościwą obronę jegomości panu Jakóbowi „Leśniowskiemu, podczaszemu ziemi lwowskiéj, „oddałem. **) Dla Waszeci téż, panie Dymi„trze, rytmy te wydrukowane zachowałem, bo „wiem, że od ksiąg nieuciekata, ale radzi czy„tacie."

Dymitr podziękował za dar obiecany, wielce wynosząc zalety zmarłego poety. „Pamięć jego (wyrzekł) nie zaginie u nas mościwy panie podstoli: imię Mikołaja, jako i cały dom Szarzeńskich, świetnie jaśnieje w wielkiém dziele Bartosza Paprockiego: *Herby rycerstwa polskiego*, kędy zmarłego młodzieńca liczy po Janie Kochanowskim jako przedniejszego w polskim wierszu."

Podstoli z radością pogłaskał czupryny, zakręcił wąsa z rozrzewnienia, gdy pan Struś, podniósłszy w górę pełny puhar, zawołał:

„Mościwi panowie bracia! piję zdrowie uczonego Bartosza, co nasze herby na wieczną uchował sławę, i razem zmarłego pana Mikołaja Sępa. Onto sławę i pamięć brata mego Stanisława, co zabit na Rastawicy od Tatarów, wierszem w potomne wieki podał." I dwie łzy spłynęły mu po zczerwieniałych policzkach.

„Był to też rycerski człowiek i zacny; gdy wszyscy uciekali, on nieuszedł, (mówił podstoli) zdziwieni pohańcy na rękę nie śmieli się z nim spotkać, ale zdaleka raźili: i tak imie ulegając, zabit, aleć żyje sławą i ozdobą rodzinnego domu swego. A ja (i podał rękę Strusiowi) łzy rzewne po śmierci waszego brata, dzieliłem nad mogiłą mego brata stojęcy. Ale precz smutek, (zawołał w końcu) niedotrzymałem Wam słowa mościwy bracie, nasz gospodarzu. Starego Sępa czoło zasępione. Poczciwy Grzegorzu, nałéj miodu, niech troski w nim utoną.

I wychylił do dna, a napełniony podał stojącemu przy jego posłaniu Dymitrowi.

„Piję Wasze zdrowie, mościwi panowie bracia i sąsiedzi moi, aby Bóg zachował was w zdrowiu czerstwém długie lata, na pociechę waszych domów, sąsiadów i moję!"

Skłonili głowami już weseli goście, gdy wszedł nagle strzelec podstolego, donosząc, że gajowy ostrzegł, iż się wilk wściekły w pobliżu okazał.

„Zamknąć psy wszystkie w bezpiecznem miejscu i niewychodzić za domostwo," rzekł pan podstoli; a obracając się do Dymitra:

„Nieuwierzysz Waszmość, co to za okropna pomsta boża, kogo pies zapomniały, koń, lub wilk ukąsi; nie masz dlań ratunku, chyba jedna litość boska. Mieliśmy sąsiada, pana Pawła z Krupnika, przed cterema laty pies go zapo-

(*) Wino węgierskie.

(**) Patrz przypisanie przez Jakóba Sępa rytmów Mikołaja podczaszemu leśniowskiemu.

mniały ukąsił w nogę. Jakoć z początku ani słychu choroby, ale nim się rok czwarty skończył, napadła go wścieklizna. Miał on żonę i czworo dziatwy: właśnie pierwszy raz uczuł napad straszny, gdy pieścił najmniejszą córeczkę. Bóg dobry tyle mu siły dodał, że krzyknąwszy: „Zono, uciekaj z dziećmi!“ rzucił dziecinę na ręce matki, sam upadłszy, owinął głowę kobiercem. Potém przyszedł ku sobie, aleć niedługo żył niebożątko — w pół roku skonał, dzięki niebu! nieskaleczywszy nikogo.“

„Wszakże pan podstoli znał pannę Ewę z Szczekarzowic: byłato gładka i urodziwa dziewka (mówił Struś). Wuj rodzony chciał się z nią ożenić, bo w niéj się na prawdę rozmiłował. Potrzeba było pozwolenia na to Papieża: począł się więc o nię usilnie starać. Po roku dostał *breve*, kazał przeto zaprządz do ozdobnéj kolebki sześć białych koni, i wyruszył do dworu, kędy rodzice panny Ewy przemieszkiwali. Wszakże często człowiek tak, a Bóg inak: w ciągu czasu, kiedy się starał o pozwolenie z Rzymu, począł zajeżdżać w zaloty, pan Mateusz, herbu Cholewa, galant i grzeczny młodzian. Jakoż niedługo przyciągnął serce panny ku sobie, a rodzice widząc, jako się ich córa rozmiłowała, zezwolili na związek, bacząc w tém pomyślność większą, niż żeby za wuja rodzonego poszła, bo takie bliskie krwi związki nie zawsze w małżeństwie mają błogosławieństwo boże. Właśnie ten dzień oznaczono do ślubu, kiedy wuj panny Ewy śpieszył, mając w zanadrzu pozwolenie, i w tę dobę trzask z bicza i przed gankiem stanął, gdy otworzono drzwi komnaty wielkiéj i ukazała się panna młoda ze swoim narzeczonym strojnie. Wuj, który *breve* niósł w ręku radosny, struchlał na ten widok wrzekomo prędzéj, niż się spodziewano potłumił miłość w sercu, a poddając się Opatrzności, wziął za rękę siostrzenicę, i jako drużba powiódł ją do ółtarza. Gdy po uczcie późnéj oddalili się nowożeńcy na spoczynek, smętny wuj panny Ewy nie mógł poskromić jakiegoś przeczucia; ze łzami w oczach pożegnał siostrzenicę, dla któréj tyle łożył starań i trudów, co mu miała resztę podeszłego wieku umilić; żegnał tak, jakby ją już więcéj niemiał uwidzieć. Tymczasem ochoczy goście wysuszali puhary; jeden z nich przechodząc koło sypialni państwa młodych, usłyszał z przerażeniem krzyk okropny, potém jęk i zgrzytanie zębów: blady jak Piotrowin z grobu wrócił, gdzie puhary krążyły, i opowiedział wszystko wiernie. Przerażenie powstało ogólne, gdy pachołek w służbie nowożeńca z trwogą począł mówić, jak pan Mateusz rano przed ślubem nie mógł się umyć i że mu kazał prędko wynieść z komnaty wodę.“

„Drzę cały“, wyrzekł wuj panny Ewy, „jakieś smutne przeczucie dręczy moją duszę, ale przemiły Bóg, przy uczcie Mateusz miał dzikie oczy, nie ludzkie.“

„Co to być może?“ zapytało kilku.

„Chyba że go kiedy zwierzę wściekłe pokąsało, a ta choroba i po kilku latach powraca!“ przemówił stary chorąży.

„Prawda, wielmożny panie!“ z ukłonem odrzekł pachołek, „przed dwoma laty zapomniały go ogar pokąsał, ale zaraz leczono i zdrów był zawsze.“

„Boże mocny, cóż poczniemy?“ zawołał wuj panny z rozpaczą.

„Chcecie rady? jakem chorąży, jest tylko jedna!“

„Jaka?“ zapytało wielu.

„Mościwi panowie bracia, nabić rusznicę, wyostrzyć kordy i zabić wściekłego, a może uratujem dziewkę.“

„Czyż niema innego ratunku?“ wyrzekł wuj Ewy, drżąc cały.

„Jakem chorąży, niema, może i to zapóźno.“

A więc z pośpiechem uzbrojeni weszli do sieni pachołcy; gdy po kilkokrotném uderzeniu we drzwi nikt nie odpowiedział, wysadzili podwoje. Co za okropny widok! Łoże było krwią zalane, kołdra zdarta i rzucona na ziemię, na niéj z przegryzioném gardłem leżała martwa panna Ewa, a przy łożu stał Mateusz. Oczy stały kołem, twarz we krwi unurzana i włosy, ręce sine ściśnięte, nie oznaczały w nim życia, tylko że pianę nieczystą toczył i zgrzytał zębami głośno. Cofnęli się wszyscy, gdy stary chorąży zawołał: „Bóg nam przebaczy mężobójstwo z potrzeby, na użytek bliźnich. Mościwi panowie bracia (i obrócił się do mających rusznicę) mierzcie w nieszczęśliwego, on ztąd wyjść nie powinien!“

Mateusz, jakby przeczuł bliską godzinę śmierci, zadrżał i westchnął boleśnie, a zwróciwszy dzikie oczy na zwłoki małżonki, załamał ręce. Wtém kilka strzałów zatrzęsło dworem, upadł martwy przy jéj nogach.

„Wielka go szkoda, był to młodzian wielkich nadziei“, wyrzekł z westchnieniem podstoli; żyli w przyjaźni z nieboszczykiem bratem moim. Myśliwy niepospolity, dużéj siły, i w biegu osobliwy. Niemało wziął na oszczep niedźwiedzi, dwa nawet w biegu dziki osadził na nim; a gdy puścił się w zawód, zające dościgał. Gdy na wyścigi puszczano konie, najlepszego przegonił rumaka, ztąd też nosił przydomek „nogi jelenie.“ Bo widzisz waszeć, że ten biedak Mateusz był z rodu dzielnych mężów, a u nas rodem szły siła i cnota, ba nawet barwa oczu i włosów. Zarębowie rodzili się zawsze czarni jak krucy i o tém w „Zwierzyńcu“ pisał Rej z Nagłowic, którego wizerunek wielce podobny na ścianie baczę. Ale wracając do psów zapomniałych, muszę wam powiedzieć dykteryjkę o jednym kwestarzu. Przybył na dwór pana jednego, właśnie wtedy, kiedy zaczęto na dziedzińcu

wołać przed zamkiem, że biega pies zapomniały. Kwestarz uciekając wraz z drugimi, wpadł na szychtę drzewa, gdzie sobie nogę skaleczył, a że był franta kawał, wchodzi do pana i jak najobojętniéj donosi, że go pies zapomniały ukąsił. Pan przerażony każe mu co rychléj naładować zbożem furę i wyséła z zamku. Ale wieść o tém, że kwestarza pies ugryzł, rozchodzi się po całym dworze; dowiedział się o tém i chłop, co mu miał furmanić. Z przerażeniem siada na furę, popędza co żywo konie, wrzekomo oglądając się po za siebie, aby dojrzeć, kiedy się znaki wścieklizny na kwestarzu ukażą, aby wcześnie zemknąć zdołał. Ten siedział spokojnie, dopóki nie ujrzał się w opłotkach dworu szlachcica, kędy zamierzył zajechać; gdy więc chłopek macha biczem, popędza: wio! hej! a oczy weń wlepił; kwestarz nagle twarzą skrzywił, zawarczał i szczeknął. Dosyć było tego; wystraszony kmieć rzuca bicz i lejce, zeskakuje z wozu i leci jak strzała do dworu, donosząc, że kwestarz, znajomy tam dobrze, wściekł się. Właśnie nie było gospodarza: pani domu, widząc nadjeżdżającego, który się sam teraz powoził, uciekła z dziećmi do bocznéj komnaty, zamknąwszy drzwi mocno. Wchodzi kwestarz, pusto w jadalnéj izbie, ale niepusty był stół nakryty, bo właśnie ta wiadomość zastała wszystkich przy obiedzie. Zmiarkowawszy, ile to strachu narobiło, począł, zjadłszy ulubionego szczupaka dzwon kilka, prosić pani i zaklinać, że nie jest ugryziony i tylko z chłopa żartował. Po długich prośbach wychyla pani głowę, a przekonana zdrową cerą o prawdzie, zasiada z dziećmi do stołu. Ale dziatwy była chmara; jak poczęto dzielić między nie ryby — znikł ulubiony mu sandacz, lin i karp tłusty. Kwestarz bacząc, że głodny wstanie od stołu, obraca się do pani i rzecze: „Mościwa pani, mnie aktualnie pies pokąsał, czuję teraz coś, coś takiego...“ i zawarczał, zęby ukazał, a pani z dziećmi z krzykiem ucieka. Kiedy więc w najlepsze zajada swoją zdobycz, ukazuje się nagle we drzwiach gospodarz domu, któremu dano znać o tém do kniei, kędy polował. Szlachcic stanął we drzwiach z nabitą rusznicą, i lontem zapalonym, wymierzył do kwestarza i zawołał grzmiącym głosem: „Odpowiadaj, czyś wściekły, bo wypalę!“ Tu dopiero zobaczył, że to nieprzelewki; wyznał szczerą prawdę, dla czego i żonę jego nastraszył, a gospodarz uspokojony, postawiwszy na boku rusznicę i lont zgasiwszy, zasiadł i z dobrym apetytem począł zmiatać talerze. Kwestarz z żalem spojrzał na sendacza, którego szlachcic przysunął ku sobie; więc nagle porywa się od stołu, plecami zakrywa rusznicę, warczy, wywala ślepie, szczęka zębami i szczeka. Szlachcic mało się nie udawił pierwszym kawałkiem sendacza, wyskakuje oknem z izby, niepomnąc o strzelbie. Tego właśnie czekał nasz żartowniś, co rychléj zmiata talerze, a w obawie, aby myśliwych nie przywiódł, dosiada fury i ujeżdża.

Śmiał się szczerze Dymitr, gdy Struś, rozmarzony miodem, drzymać począł; podstoli więc życząc dobréj nocy gospodarzowi, odmówił modlitwę, pocałował szkaplerz i wkrótce usnął. Grzegorz na palcach wysunął się z komnaty, a gdy i Dymitr strudzony zachrapał, pierwsze kury zapiały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem, kiedy to się działo w Piotrkowie i okolicach jego, kiedy król powolnie, ale przezornie uśmierzał nieukołysane jeszcze z przeszłego zjazdu namiętności, kiedy z wytrwałości w postanowieniu i ze sprzężystości w działaniu, stawił nieprzebitą tarczę naprzeciw wszystkich pocisków Bony i oddanych jéj burzycieli; szwagier jego w Litwie innemi jeszcze troskami, prócz tych spraw, umysł miał zajęty. Dotknięty żywo nieukojoną dotąd niezgodą dwóch braci swych stryjecznych, Mikołaja i Jana Radziwiłłów, bojąc się o złe ztąd następstwa dla pomyślności całego ich domu, wśród znacznéj liczby nieprzyjaciół, nieustawał w usiłowaniach o pojednanie poróżnionych. Oprócz tego pilne zwróciwszy oko na wszystkie kroki zawistnych jego znaczenia w kraju panów, czuwał bezprzestannie nad ich zmowami, niwecząc najbardziéj zamysły Wirszyła i Chodkiewicza, którzy ostatecznie pod Kownem wspólnie o tém naradzali się. Wszystkie te okoliczności ścisły związek miały z walnym i głównym interesem małżeństwa Barbary; nieprzyjaciele bowiem domu Radziwiłłowskiego, na zepsuciu losu królowéj i odstrychnieniu od małżonka, gruntowali najwięcéj wszystkie swoje nadzieje przyszłego obalenia nieznośnéj dla nich potęgi. Im bardziéj zatém usiłowania swe natężali przeciwnicy, tém więcéj należało się lękać rozdwojenia między Radziwiłłami, tém silniéj bronić się od zamachów przeciwnego im stronnictwa arystokracyi litewskiéj. — Prócz tego, widoki może osobiste utrzymania na przyszłość przewagi swéj w kraju, dotąd jeszcze udzielnie od korony rządzonym, miłość własna, że tak powiem, narodowa, i zawiść sąsiedzka, miotały ciągle umysłem podczaszego Radziwiłła i nieprzeparty w nim wstręt nieciły do coraz ściślejszego połączenia się z Polską. Myśli jego w tym względzie od-

krywają się zupełnie, rzucając nie małe światło na dzieje ówczesne, w następującym liście, nieogłoszonym dotąd, który pisał do marszałka lit., a brata swego stryjecznego, zostającego przy królu w Piotrkowie:

„Jaśnie wielmożny Panie, Panie a bracie mój łaskawy!“

„Dopiero teraz niedawno w tych czasach dowiedziałem się tego, iż w. m. raczył przyjechać do Piotrkowa, przeto skorom się tego dowiedział, tedym tego zaniechać niechciał, abych o onych rozmowach w. m. ze mną w Wołkowysku niemiał w. m. dać znać, a zwłaszcza o tém, o co mię w. m. pilno prosić raczył i w gospodzie i potém na polu za miastem, o brata w. m., pana krajczego (Jana Radziwiłła), chcąc to przez mię od niego wiedzieć, jeśliżebyś się w. m. miał o zdrowie swe onego strzedz? Jam się tego ważył od w. m. pytać pana krajczego, gdzie mi na to pan krajczy powiedział temi słowy: „„„Alboć pan marszałek mnie coś takiego musiał zadziałać, przez bych ja się miał starać o jego zdrowie? a chociażby mi i zadziałał, tedy niechaj tak o mnie nierozumie, abych ja miał niewarcząc, kąsać, bowiem co na tém należy każdemu rycerskiemu człowiekowi, gdybych z nim miał, abo chciał co czynić, dałbych mu pierwéj znać, abych się mnie strzegł“““; i powiedział: że się temu dziwię, że w. m. tego przedsięwziąść nieraczył, jego powolnego i pokornego przez mię wskazania, którém się on starał i starać chciał o łaskę w. m. z którego się to znaczyło, iż on pragnął łaski w.m., a nieżądał żadnych rosterków abo odpowiedzi. A tak to jest na wskazanie w. m. przez mię odkaz pana krajczego, iż go w. m. o zdrowie swe nieracz się strzedz, pókiby on w. m. o tém nie dał znać, co nigdy nie będzie, dalibóg! To już od pana krajczego tyleż ja z powinności swéj krewnéj, którą obiema w. m. równém jest związan, a iżbych rad miłość bracką w domu naszym spólnym między w. m. i wszemi nami widział, rozumiejąc, że to prawie grunt szczęścia sławy, obrony od nieprzyjaciół, których teraz dosyć jest zewsząd domu naszego, rozumiem, żeby trzeba w. m. niejedno jednemu od drugiego rozgniewałym tyle się waśnić a różnymi być, ale i owszem i dosyć doległą krzywdę a jednak znośną, w sobie umarzać, dusić, i będąc mędrszym, drugiemu przebaczać i ścierpieć. Bo jeśli co za szczęście jakieżkolwiek tu na świecie przekładamy, możemy to z przeciwka rozumieć to za wielkie nieszczęście domu naszego, takie nieluboości, jakie dziś są między ww. mm. rodzonymi. Wiem ja dobrze, że w. m. temu raczysz lepiéj, niż ja piszę, rozumieć; ale ja, którym jest tegoż płotu pal, tego żałuję natenczas rosterku w. m., którego ja nie mogę inak u siebie rozumieć, póki mię kto mędrszy nie nauczy, jedno z upadem i złą sławą naszą. A przeto my powinni, krewni, przyjaciele w. m., prosim Pana Boga, aby was raczył natchnąć płomieniem Ducha św., a dał w. m. serca w gniewie uśmierzenie, a mnożył w niém bracką miłość. Bo jakom ja znał w. m. być żałościwego i gniewliwego w Wołkowysku na p. krajczego za jego sprawę, która w. m. w cedułach dochodziła, czegom ja mu iście nie powiedział, tylko to pokrótce: iż w. m. ani przyjąć, ani odłożyć na on czas, przez mię ku w. m. wskazania jego nie raczył i przez krótkość czasu i potém przez pana, o którego się to między wami wszczęło; tak téż widzę p. krajczego, z drugą stronę, żałosnego i gniewliwego, z nieprzyjęcia prośby, pokory jego przed w. m. uczynionéj przez mię. Bo p. krajczy tak powiada, iż o zajście brzeskie już się koniec cedułami stał przez pana, a on potém prosił o toż w. m., a coby się potém ponowiło u w. m., on się w niczém nie czuje, powiadając, iż jeśli kto nań co powiadał w. m. szkodliwego o osobie, a sławie w. m., że się powiadacze na tém mylą; tak się on w tém powiada i wie iście. Ja już sobie to piszę, co głupio, ale życzliwie rozumiem. Chociaż i czego innego panu krajczemu ku téj prośbie, abo pokorze było potrzeba, na osobę w. m., ale jakożkolwiek czego ja od niego niewiem, daléj jeśli on przecię będzie chciał to wznowić, a łaskę w. m. słusznie najdować, zaprawdę nie do końca, by się w. m. godziło tego na stronę odkładać, bo pokutą prowadzeni błogosławieństwo odnoszą od Boga, a ten to sam i człowiekowi przykazał, aby odpuszczał. Proszę w. m., niechaj to będzie z łaską w. m. przyjęto odemnie, że to o w. m. idzie mniemanie u ludzi, a to tak, jeśli bratu rodzonemu, z przygody w grzech wpadłemu, niema odpuszczenia, ani mu słuszne kajanie się pomódz może, a któż dalszy, abo zachowały, a w gniew w. m. wpadły, nie uporem, tylko przygodą, mógłby mieć nadzieję o nalezieniu łaski w. m.? Ja już o tém daléj pisać nie chcę, puszczam to rozumowi w. m., a com począł na tym papierze, tém i zawieram. To mię w to wiodło, iżbych rad widział zgodę ww. mm., na którą abych ja rychło patrzył, amen. Pisałem do jego k. m. niedawno przedtém o témże, co tu w. m. oznajmuję. Wirszyło, Chodkiewiczowie obadwa mieli się zjechać, byli w Kownie na jakieś judaskie sprawy i rady, otóż potém się niezjeżdżali, tam chyba Wirszyło się zjeżdżał z trockim panem (Hieronimem Chodkiewiczem) od Kowna trzy mile i byli tam z sobą kilka godzin; co tam radzili, trudno wszystko wiedzieć, ale to wiem, iż on Wirszyła wyprawił do Piotrkowa, który już wyjechał, aby się na królu upominał zelżywości téj, którą cierpi, iż jest od spraw odrażon, w owém państwie, będąc kasztelanem wileńskim. A to nieprawda,

bo gdyś w. m. sam przyjeżdżał, on być niechciał, a potém gdy był w Wilnie w domu swym, biskup i Gronostaj poń do rady słali, on niechciał być, nałajawszy Gronostaja, jechał precz z Wilna. Chodkiewicz Hieronim też snać chce o tożż jechać, aleć jeszcze jest we Żmudzi, jedno to więcéj powiezie z sobą, jeśli pojedzie, kilka ciwunów i kilka szlachty, prosząc i napominając króla, aby nie on, ale starosta z nimi ciwuny obierali we Żmudzi, a królby tym niechaj dawał ciwunowstwo, a włoki też, aby król nie dał mierzyć włok we Żmudzi, a koszt ktemu muszą z niego mieć, co tam jadą. To mię też dochodzi, iż ten łotr Wirszyło snać chce tam w Piotrkowie o mnie i mówią i co większego, panu na mnie skarzyć, będąc mnie sam winien. Ja o nic innego nie proszę w. m., a zasługować będę, abyś w. m. przyczyną swą, to mnie wymógł u jego k. m., abych ja tam jechać mógł, a tam na wszystko, dali Bóg, słuszny odpór jemu dam, z radą w. m., przyjaciół swych, a za niewinnością swą. Bo wierz w. m. temu, iżbych radziéj tam przed senatem polskim z nim się o to rozprawiał, niż ówdzie przed kijowskim księdzem biskupem (Janem Andruszewiczem), który gdy nam *votum* przyjdzie w téj sprawie, rozumiem, że się niestęskni onego nikomu słuchać. Miłościwy panie marszałku, słyszę, iż Polacy, doczynają o uniją na pana naszego, a snać tedy, iżby już od tego czasu sejm był złożon w Parczawie, abo w Lublinie, abo w Litwie, a nań aby panowie z pany, a posłowie z posły, społu litewscy z polskimi wotowali i radzili, a kondycyi mało abo nic, jako ja sam siedząc słyszę ktemu nie powiadali. Przeczby tego im i nam była potrzeba? Chcą, aby prawa nasze i wolności nasze, tak skarbu królewskiego, tak i miejskiego były im pokazane, toć się jawnie znaczy, że nie potrzeba obrony od nieprzyjaciela. Unii potrzebują, ani jéj na nas prośbą dochodzić chcą, abo panu każą, ale już nas i wolności nasze wyrokiem swym przecię w sprawę przymuszają. To gwałt, bo iż my na to jeszcze nie przyzwolili, a oni nam każą wolności nasze przedsię kłaść na sejmie, to znak, że nas sobie lekce ważą i ku jakiéj unii abo panowaniu nad nami się ściąga! czego nam, panie Boże, niedaj doczekać! Przeto ja to w. m. oznajmuję, iż sam tak wielcy, jako i mali, oprócz Wirszyła a Chodkiewicza, za którymi w to, mniemam, nikt nie pójdzie, niejedno, aby mieli na to przyzwalać, ale się od tego żegnają i tego się bardzo strzegą. To w. m. racz wiedzieć, i tego się boją, aby pan nasz tam im niedał się na co przywieść, czegoby sam nasi potém nieuczynili, ażby im gardła brano. A o to teraz mówią i wierzą z nimi, bo to bez przyczyny być nie może, iż się oni dopierają pokładania wolności naszych, od pana nam poprzysiężonych i takież miejskich, muszą co od kogo o nich słyszeć, abo z nich kopije mieć, które jeśli mają, pewno nie od Litwina, ani Rusina; musiałto jakiś ich narodu człowiek gdzie tego zarwać i tam to przynieść. O miejskie, o tém tak sam słyszeć, że wójt wszystkie kopije spisał, więc je mógł tam podać. Chociaż w naszych wolnościach nic niemasz opisanego, czémbyśmy jaką unią byli Polakom powinni, ani w miejskich, ale dziś siła ludzie glozują, owaby mając wiadomość ich, chcieli co w nich glozować, przetoby dobrze i na zamku i w ratuszu i w pańskim skarbie i w majętnościach naszych, mieć rodzice nasze, ani Polaki, boć i to niemały fortel, czyniąc co z kim, wiedzieć intraty jego i majętność jego; bo się to ściąga ku sile bardziéj, niż ku dobrowolnéj unii. Oni tylko panu każą, aby nam kazał być na sejmie, gdzie już oni obrali sobie miejsca i już rozkazują swym obyczajem z posły nam jechać, a nas jeszcze o to niepytali, jeśli my na to przyzwolimy; więcby się trzeba warować, aby nam onego Zawichosta, kijmi namiotanego, nie oddali, gotowymby nam zasię gnojem, nienamiotali Drohiczyna, bo tam już swe prawo mają. Ja i krótce i głupio piszę, ale w. m. racz pana strzedz i napominać tam w Piotrkowie, niechaj nas w niwecz niewwodzi nad wolą i wiadomość naszę wszystkich poddanych swych Litwy, bo się boją Litwa, iż pan snać rad więcéj widzi Polaki, a im dufa, niż Litwie. Wiem ja, żeś w. m. przy tém nie był, ale to ludzie obraża; rozdanie Polakom dzierżenia imion wojewodziny wileńskiéj Gasztołdowéj. Ale pod tym czasem i wojtem Polaka się nadziewają, a snać jeśli dla magdeburskiego prawa, woleliby widzieć jakiego Niemca, niż Polaka. Aczci na urzędnikach imienia Gasztołdowéj w rzeczypospolitéj mało należy, alić to ludzie bardzo boli, iż pan o nich mniema, że są godniejsi oni, niż owi wiary u pana i służby pańskiéj..... których sam znasz, jest nosy bardzo zwiesili, a za Berezynę im nie trudno i nie daleko. Ja to wszystko Panu Bogu poruczam, a sam siebie łasce w. m., życząc w. m. dobrego zdrowia i fortunnego na wszém powodzenia. Posyłam w. m. spady dwie, w jednych poszwach, tak Włosi powiadają: iż to nowy monster, racz w. m. za wdzięczne przyjąć, a one przy sobie nosząc, mnie proszę, nie racz w. m. przepominać. — Wiemci ja, żeby mi przystało większe upominki stanu w. m. posyłać, ale ja posyłam to dobrym braterskim umysłem, wszakże przodkowie nasi rzepą obsypali się, będąc na się askawi.“

„Dan w Wilnie 21. Czerwca 1550. r.“

„W. m. pana i brata, brat i sługa

Ni. Radzivil, m. propria.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienie literackie.

W miesiącu Sierpniu roku zeszłego ogłosiłem prospekt na dzieło fizyczne w sześciu tomach wyjść mające, a tymczasem oznaczyłem przedpłatę na tom pierwszy, który jest częścią obrazu fizyki istniejącéj. Gdy jednak ozwały się głosy z zagranicy osób gorliwych o dobro pospolite, żądające, ażebym od razu kompletnie obraz fizyki istniejącéj wydał; posłuszny temu głosowi, oraz głosowi sumienia, że trzeba wszystkie siły poświęcać dla dobra spółeczności, wykończyłem dzieło całkowite, które acz jest tylko częścią mego planu ogólnego, który dałem poznać, przecież może się nazwać kompletném w swoim rodzaju, kiedy całkowity obraz stanu aktualnego fizyki zawiera. Przychylne chęci szanownych osób, dających mi otuchę wsparcia w moim zamiarze, ozwały się szczególniéj z gubernii wileńskiéj, kijowskiéj, podolskiéj, wołyńskiéj, niemniéj z Galicyi, księstwa poznańskiego i Lipska. Tak więc Bóg wszechmogący, który mi udzielił sił, natchnął oraz innych, ażeby te siły skutecznemi być mogły. W takim rzeczy stanie ogłaszam prospekt na dzieło we dwóch tomach wyjść mające razem; z których pierwszy będzie zawierał mechanikę i cieplik, drugi naukę o świetle, elektryczności, magnetyzmie i elektromagnetyzmie. Mechanikę starałem się treściwie i krótko przedstawić, zastósowując prawdy z niéj do pożytku sztuk i rzemiosł. W nauce o cieplíku rozciągałem się nierównie więcéj, przyjmując układ z Pulieta, a trzymając się ścisłości w doświadczeniach Gaylusaka. — O parach i machinach parowych rzecz traktowałem najrozciąglej. Tablice liczbowe, w które nasze fizyki dosyć obfitują, opuszczałem, przywodząc je o tyle, o ile mi potrzebne były do wyciągnienia jakiego ważnego stósunku; w nauce o świetle trzymałem się systematu Newtona, zostawując szczegóły systemu Dekarta do ścisłéj krytyki, co jednak ma być przedmiotem osobnego dzieła. Prawo refrakcyi, przypisywane pozitywe Dekartowi, dowiodłem, wspierając się pismami Delambra, iż ono rzeczywiście należy się naszemu Witelionowi. O Achromatyzmie wspierałem się pracami wielkiego naszego fizyologa, św. pamięci Jana Mülego. O elektryczności rzecz traktowałem obszernie, o magnetyzmie tylko w ustępach przy nauce o elektryczności. W elektryczności uważałem głównie stós Wolty, a w magnetyzmie igłę magnesową; z połączenia tych dwóch narzędzi i ściśléj uwagi ich działań, powstał Elektromagnetyzm, stanowiący dzisiejszą nową fizykę. Naukę o elektryczności podzieliłem na trzy okresy. Pierwszy od początku do wynalezienia machiny elektrycznéj; 2gi do stósu Wolty; 3ci do Ampera, który jest razem okresem naszego czasu. — Rzecz przebiegałem historycznie, przywodząc ciekawe przypadki, prowadzące do odkryć lub wynalazków. Wspomniałem też o zasłużonych osobach chronologicznie. Zgoła starałem się nie tak dawać relacyą o nauce, jako raczéj wzrost jéj powolny w całym korpusie przedstawić. W traktacie fizyki nowéj o Elektromagnetyzmie najpłodniejszym w zadziwiające fakta, gdzie jeszcze niemasz drogi przetartéj należycie, musiałem ją sobie po większéj części sam torować. Prace wielkiego Ampera, Arrago, Beguerela, Faradaja, Sawarego, Dela-Ryvów, Stużona, Sebeka, zachwycały szczególniéj duszę moją. Dzieło Beguerela: „Biblioth. univers. Annal. de Chim." dostarczyły mi nie przebrodzonych materyałów. Nareszcie rzecz zakończę zastósowaniem elektro-magnetyzmu do nawigacyi, do telegrafów. Ostatnią materyę przebiegnę historycznie, wymieniając usiłowania Salwy z roku 1794. w Hiszpanii; prace już daleko posunięte Sömeringa z r. 1812. w Munich, nareszcie Steincheila, dodając uwagi tyczące się poprawek.

Zamknę zaś wszystko wiadomością o Dageurotypie. Wydanie będzie wystawne i dosyć ozdobne. — Figury będą na kartkach wśród druku. Kosztować będzie złp. 25 w dwóch tomach kompletnych „Fizyka istniejąca", którą starałem się wystawić tak, na jakim stopniu się znajduje u narodów oświeconych. Odwołuję się do serc miłośników téj pięknéj i do najszlachetniejszych uczuć podnoszącéj nauki; mam nadzieję niezachwianą, iż mnie w moich usiłowaniach wesprzeć raczą; — unikając zaś zwyczajnego trybu zbierania przedpłaty na dziełka powszednie, dla zabawy tylko publiczności poświęcone, który dziś bardzo małą ufność wzbudza, i dla tego prawie, jakby dawna pamiątka, tylko się powtarza; pokładam raczéj nadzieję w sercach poczciwych, gorliwie dobro pospolite miłujących osób, iż sposobem pomiędzy sobą przyjacielskim, chęci moje łaskawie wesprzeć raczą. Nieodzywam się tu w imię przyjaźni mojéj, ale w imię miłości nauki i dobra pospolitego.

Za główny punkt korrespondencyi naznaczam Szczebrzeszyn w gubernii lubelskiéj, pod Zamościem.

R. 1840.

Józef Żochowski.

Na dzieło to przyjmuje księgarnia E. Günthera w Lesznie i Gnieźnie prenumeratę.

Nr. 5ty Przewodnika Rólniczo-Przemysłowego zawiera następujące artykuły:

Mowa jenerała francuzkiego Bugeaud.
Miotła rozłogowa.
Nowo-wynaleziona machina do młócenia zboża przez pana Vitusa Ugazy.
Melilot modry.
Gnój.
Sposób zachowywania od zgnilizny przedmiotów zwierzęcych i roślinnych.
Lemana sposób zamieniania słomy na massę, podobnie jak sierść zdatną do wyściełania materaców.
Statystyka gospodarcza.
Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)